

JOW w świetle doświadczeń demokracji szlacheckiej

25 marca 2015

Każdy system społeczny powinien być rozwijany ewolucyjnie, od najprostszych funkcjonalności ku coraz bardziej złożonym. W dużej mierze możemy utożsamić budowę systemu (państwa) z debatą publiczną, gdyż wbrew wszelkim pozorom to właśnie debata publiczna w sposób kluczowy determinuje politykę. Jest ona bowiem tzw. rządem dusz.

CZY KAŻDY KRAJ MA TAKIE WŁADZE NA JAKIE ZASŁUGUJE?

Panuje u nas pogląd głoszący, że polska polityka oderwana jest od społeczeństwa, politycy żyją we własnym świecie, rozgrywając jedynie własne interesy. Inna opinia głosi coś zgoła przeciwnego: nasza patologiczna polityka jest jedynie odbiciem patologicznego społeczeństwa, gdyż każdy kraj ma takie władze na jakie zasługuje. Opinie te opierają się na niezrozumieniu charakteru władzy demokratycznej, a w szczególności na niezrozumieniu władzy demokratycznej w społeczeństwie informacyjnym.

Frazes głoszący, że każdy kraj ma władzę na jaką zasługuje nie miał żadnego związku z demokracją ani jakimiś obserwacjami. Wywodzi się to z Biblii, która traktuje władzę jako dopust Boży zsyłany dla karania lub nagradzania społeczeństw za ich grzechy lub cnoty. Bóg daje ludziom takich władców na jakich zasługują – moralnie. Zabawnym jest, że pogląd ten został zdesakralizowany i stał się formą społecznej pseudomądrości.

Równie błędny jest pogląd o wyizolowaniu polityki od otoczenia społecznego. Coś takiego byłoby możliwe tylko w sytuacji, gdyby wybory powszechne były nieustannie fałszowane. Nawet i wówczas niezadowolenie prędzej czy później rozsądziłoby taki system.

Najbardziej umiarkowane poglądy próbują wyjaśnić oderwanie polityki od potrzeb społecznych za pomocą wadliwego systemu wyborczego. Ordynacja ma być tutaj winna temu, że nie udaje się wybrać władzy wrażliwej na kluczowe potrzeby społeczeństwa. Wyrazem tego jest ruch społeczny na rzecz jednomandatowych okręgów wyborczych, który aktualnie w Polsce jest najpopularniejszą próbą naprawienia naszej demokracji (konkurencyjne nurty antysystemowe akceptują system partyjny utożsamiając naprawę sytuacji z koniecznością wymiany personalnej parlamentu). Pozostałe nurty antysystemowe kontestują głównie treść obecnego systemu; np. Korwin nie tyle odrzuca partyjny system władzy, co idzie po władzę z koncepcją „partia to ja” (teoretycznie nie musi zatem dążyć do obalenia formy systemu, by padła jej demokratyczna treść). Ruch Narodowy również koncentruje się na zmianie treści a nie formy systemu.

Całkowicie inny charakter ma ruch JOW – jedyny, który głosi, że źródłem problemu jest partyjna forma władzy. Paweł Kukiz będzie prawdopodobnie jedynym kandydatem na prezydenta bez zaplecza partyjnego. Zebranie przezeń 100 tys. podpisów wskazuje na jakąś zdumiewającą siłę tego ruchu, co zapewne doskonale rozumieją ci, którzy mają realne doświadczenie w działalności społecznej i wiedzą, że spontanicznie i bez zaplecza organizacyjnego wychodzi mało co.

Ciekawe jest, że jest to tak popularny społecznie ruch antysystemowy biorąc pod uwagę fakt, że krytycy JOW przestrzegają, że nie tylko nie obali to partiokracji, to na dodatek doprowadzi do modelowej dwupartyjności PO-PiS. Mimo tego straszak POPiS nie działa.

JOW TO NAJMOCNIEJSZE NAWIĄZANIE DO DEMOKRACJI SZLACHECKIEJ

Propozycja JOW, czyli Jednomandatowych Okręgów Wyborczych, nie jest jakimś współczesnym wynalazkiem, lecz odwołaniem się do doświadczeń historycznych.

Zauważmy, że obecnie przechodzimy chorobę młodej demokracji na niewydolność decyzyjno-organizacyjną. Państwo nie radzi sobie z rozwiązywaniem podstawowych problemów, a co gorsza stało się klasycznym molochem, który dławi energię społeczną. JOW stawia podobną diagnozę choroby jak w międzywojniu – winny jest system partyjny. Piłsudski nazywał to problemem partyjniactwa i jako lekarstwo zaordynował silną władzę centralną o charakterze autorytarnym. Trudno jednak uznać ten eksperyment za udany, co ujawniło się zwłaszcza, gdy zabrakło Piłsudskiego.

Ruch JOW stawia tę samą diagnozę, co Piłsudski: winny jest system partyjny. Trzeba zatem zlikwidować partiokrację. Zamiast centralizacji władzy zaproponowano jednak lekarstwo zgoła przeciwne: decentralizacja władzy. Uważam, że jest to bardzo ciekawy postęp wobec II RP, który odwołuje się do doświadczeń demokracji szlacheckiej.

II RP proponowała naprawę demokracji poprzez rządy silnej ręki. Oznaczało to zerwanie z tradycją polityczną demokracji szlacheckiej. Uznano, że był to brakujący element dawnej demokracji, który doprowadził do jej upadku.

Wprowadzenie JOW byłoby bezpośrednim nawiązaniem do demokracji Rzeczypospolitej XVI wieku, czyli do bardzo udanego okresu polskiego ustroju. Izbę poselską tworzyli wówczas przedstawiciele poszczególnych okręgów ziemskich, związani odpowiedzialnością przed swoimi wyborcami. Wiązało się to z bardzo konkretną odpowiedzialnością i związaniem przedstawiciela z wyborcami, w przeciwieństwie do dzisiejszego modelu w którym uznaje się każdego posła za przedstawiciela nie jego wyborców, lecz całego narodu. W efekcie posłowie nie są dziś przedstawicielami okręgów, lecz partii. W tym sensie władza jest silnie scentralizowana a odpowiedzialność rozmyta.

ATUTY DEMOKRACJI SZLACHECKIEJ: KONSENSUALNY TRYB PRACY

Najwyższym jednak atutem dawnej polskiej demokracji (w okresie

w którym byliśmy awangardą demokratyczną w Europie) wobec form późniejszych z II RP oraz III RP było oparcie jej na jednomyślności i poszukiwaniu konsensusów, w przeciwieństwie do zasady zwykłej większości, która prowadzi do klinczów i partyjniackich wojen. We współczesnych demokracjach dąży się jedynie do zdobycia większości głosów, co pozwala na niemal całkowite wykluczenie wpływu przedstawicieli, którzy mają choćby niewiele mniej niż połowę. W efekcie dąży się tylko do zdobycia większości i do pokonania konkurencji. Zasada ta paraliżowała parlamentaryzm II RP jak i III RP – sprowadzała jego istotę do walki z konkurencją i w efekcie jałowości w osiąganiu celów ogólnospołecznych.

Demokracja szlachecka oparta była na diametralnie odmiennej filozofii. Zasada jednomyślności wymuszała od posłów poszukiwanie konsensusów, porozumień, kompromisów, przekonywania. Nie było więc sensu wiązania się w partie, gdyż potrzeba było wypracowywania takich decyzji, które nie będą naruszały interesów jakichś części państwa dla dobra silniejszych. Wpływało to na zrównoważony rozwój i umiejętność poszukiwania interesów ogólnych. Naturalnie parlament zajmował się przede wszystkim sprawami ogólnymi a nie partykularnymi. Te ostatnie były w gestii sejmików.

Idea jednomyślności była realistyczna. Rozumiano ją jako zgodę powszechną, której wyrazem był brak sprzeciwu. Jeśli jednak zdarzały się pojedyncze sprzeciwy pomimo racjonalnej argumentacji, przyjmowano fikcję jednomyślności i ignorowano trwających w oślim uporze. Na wszystkich wymuszało to sztukę mocnej argumentacji swoich racji.

Zauważmy, że związanie posła ze swoimi wyborcami jest podstawą dla koncepcji konsensualnej: otóż współczesny poseł uważa się za reprezentanta całego narodu, czyli swoje racje uważa za racje ogólnonarodowe, nawet jeśli jest całkowicie partykularny to uważa, że jego partykularyzm jest interesem narodu; w demokracji szlacheckiej każdy z założenia był przedstawicielem racji cząstkowej, partykularnej, co prowadziło do konieczności

wypracowywania racji narodowej poprzez konsensusy racji partykularnych. I w taki sposób organizowano prace sejmu.

LIBERUM VETO BYŁO REAKCJĄ NA KORUPCJĘ SEJMOWYCH WIĘKSZOŚCI

Racjonalny konsensualizm działał w XVI i do połowy XVII w. Kiedy jednak po wielu wojnach polski parlamentaryzm centralny zaczął się degenerować i bywało tak, że to większość zaczęła nieraz obstawać po stronie decyzji irracjonalnych, zrezygnowano z fikcji zgody powszechnej. Tak narodziło się liberum veto, w przekonaniu szlachty, że czasami to jednostka bywa ostoją rozumu. Uważano wówczas, że wiązało się to nade wszystko z olbrzymim wzrostem praktyk korupcyjnych ze strony króla, jak i obcych mocarstw. Nie brano jednak pod uwagę wpływu Kościoła.

Liberum veto stało się więc reakcją na wielką korupcję centralnego sejmu, która – jak wierzano – zmierzała ku temu, by przekupić praktycznie wszystkich. Tylko liberum veto mogło zaradzić temu, gdyż uważano, że nawet w najgorszym otoczeniu znajdzie się ktoś na tyle szalony, by być uczciwym wtedy, gdy nieuczciwość staje się normą.

Liberum veto nie sparaliżowało państwa, a jedynie jego najbardziej zdegenerowane instytucje centralne. W istocie bowiem doszło do powrotu do stanu z okresu panowania Kazimierza Jagiellończyka – ten najlepszy z Jagiellonów XV stulecia przestawił system rządów z modelu oligarchicznego na model wprowadzony przez Kazimierza Wielkiego, czyli oparcie władzy królewskiej na klasie średniej. Zamiast więc odwoływać się do centralnego senatu, który tworzyli magnaci, począł odwoływać się do sejmików ziemskich, gdzie dominowali średni.

I to właśnie stało się w drugiej połowie XVII w. dzięki liberum veto. Naczelna władza powróciła do sejmików ziemskich, które niemal zupełnie uniezależniły się od króla. Zawdzięczamy temu uwolnienie Polski od dynastii Wazów, którzy zrozumieli, że nic już w Polsce nie zwojują. Dzięki temu w drugiej połowie

XVII wieku pojawili się dwaj królowie, których uznano za „Piastów”: Michał Korybut Wiśniowiecki oraz Jan III Sobieski.

Liberum veto wyzwoliło dwie pozytywne zmiany ustrojowe: poza decentralizacją władzy, którą przejęły sejmiki, zaczęła rosnąć demokracja bezpośrednia. Odbywało się to w postaci pospolitego ruszenia szlachty przekształcanego następnie w tzw. sejm konny. Tam więc gdzie nie wystarczały rządy sejmikowe, tam centralną władzą stawały się sejmy oparte na demokracji bezpośredniej.

Dziś deformuje się znaczenie liberum veto podnosząc, że miały z tego korzystać ościenne państwa dla paraliżowania obrony kraju. Główną jednak zaletą liberum veto było zablokowanie uchwalania złych praw centralnych. Uchwalanie dobrych nie potrzebowało sejmu, gdyż przejęły je sejmiki, gdzie rządziła zasada większości. Sejmiki nie tylko podejmowały swe zwykłe decyzje, ale i przejęły sprawy podatków i wojska. Właśnie dlatego doszło do zamachu na rządy sejmikowe.

Liberum veto niczego zatem nie sparaliżowało w kraju, lecz naprawiło. Jak natomiast doprowadzono do paraliżu państwa w XVIII wieku? Zaczęło się od tego, że w drodze zamachu stanu władzę królewską przejęła saska dynastia Wettynów. August II doprowadził do utracenia w Polsce rządów sejmikowych. Miało to miejsce po wyniszczeniu kraju zupełnie dla Polski bezsensowną Wojną Północną (Polska nie była żadną stroną, lecz urządzono tutaj główny teatr wojny). Likwidację rządów sejmikowych przeprowadzono pod presją wojsk saskich i rosyjskich w czasie tzw. sejmu niemego z 1717. A niemy był dlatego, by zablokować liberum veto, które mogłoby uratować rządy sejmikowe. W 1720 w Poczdamie król pruski wraz z carem zawarli układ dotyczący wspólnego utrzymywania paraliżu ustrojowego Rzeczypospolitej. Demokrację bezpośrednią dobił kolejny Wettyn, August III, którego warunkiem wybrania było zobowiązanie się w pactach conventach do tego, by co trzeci sejm był konny. Nigdy jednak żadnego nie zwołał.

Na tym właśnie oparło się kłamstwo obciążające demokrację szlachecką za upadek Polski: liberum veto nie zepsuło władzy, lecz ją naprawiło poprzez odłączenie zgangrenowanej instytucji centralnej. Odłączenie jej wytworzyło formy alternatywne: rządy sejmikowe oraz rozwój demokracji bezpośredniej. Dopiero sparaliżowanie tych zdrowych form przez przemoc sąsiadów – doprowadziło do sytuacji, że władzę zastąpiła anarchia, która zniszczyła społeczeństwo.

Dlatego każdy, kto nawiązuje dziś do demokracji szlacheckiej nawiązuje do najlepszej formy ustrojowej w dziejach Polski. Formy, która w czasach jagiellońskich współtworzyła potęgę kraju, a w czasach panowania królów dążących do zniszczenia polskiego parlamentaryzmu, długo była w stanie samonaprawiania patologii władzy centralnej. Była to demokracja niezwykle elastyczna i konsensualna. Nie upadłaby gdyby nie destrukcja wojenna kraju po której przyszła zmowa sąsiadów na rzecz wspólnego utrzymywania paraliżu polskiej demokracji.

KRÓL ELEKCYJNY – SŁABY ELEMENT SYSTEMU

Najsłabszym elementem tej demokracji stała się władza królewska, ale nie dlatego, że była za słaba, lecz dlatego, że została wzmocniona nieformalnym wpływem kościoła.

Po śmierci Zygmunta Augusta, Polska powinna twardo trzymać się dotychczasowej drogi tolerancji religijnej, dlatego, że wróg Polski zaangażował się w reformację. Przez poprzednie wieki interes papieża i Polski współgrały ze sobą zazwyczaj. Kościół pomógł Piastom pokonać swoje największe zagrożenie ze strony Niemiec. W okresie zaś Jagiellonów, w XVI w. interesy Polski i papieża na tyle ze sobą współgrały, że nawet polscy protestanci uważali, że królem powinien być katolik, gdyż ma on nad sobą instancję kontrolną w Rzymie.

W późniejszym jednak okresie, gdy Europę opanowały wojny religijne oraz kontrreformacja, interesy Polski i Rzymu rozeszły się. Gwarancją bezpieczeństwa Polski było

nieangażowanie się w wojny religijne, z uwagi na to przede wszystkim, że taką formę przybrał nowy imperializm niemiecki.

Dla słabych królów elekcyjnych wojna stała się najlepszą drogą do zwiększania swych wpływów na politykę państwa. Stąd ich natrętne dążenie i prowokowanie wojen. W ten sposób doszło do połączenia sił słabych królów z silnym kościołem.

KOŚCIÓŁ JAKO MAINSTREAMOWE MEDIA DOBY SARMACKIEJ

By zrozumieć co to był za sojusz, trzeba zdać sobie sprawę, że kościół był wówczas tym, czym dziś są mainstreamowe media. Był najsilniejszym ośrodkiem kształtowania opinii publicznej, najsilniejszym medium. W ten sposób słabiutki król mógł podbić demokrację i politykę dzięki pomocy najsilniejszych mediów.

Jaki błąd popełniła demokracja szlachecka, że jej „media” rozpoczęły walkę przeciwko niej? W moim przekonaniu błąd ten polegał na tym, że ówczesne media pozostały niezależne wobec głównego ośrodka władzy w państwie. Kościół ani nie wchodził do izby poselskiej (biskupi zasiadali w senacie, który słabł wraz z rozwojem demokracji szlacheckiej) ani nie podlegał jej kontroli. Po wprowadzeniu monarchii elekcyjnej jego władza polityczna uległa dalszemu osłabieniu wobec jego realnych wpływów społecznych. Doprowadziło to do realnego sojuszu osłabionego króla z osłabionym kościołem. Warto przy tym pamiętać, że w XVI wieku izba poselska wielokrotnie forsowała zwiększenie obciążenia podatkowego kościoła, co jednak było ograniczane przez inne ośrodki władzy. Kiedy natomiast nastąpiła monarchia elekcyjna, pozycja izby poselskiej na tyle wzrosła, że Kościół miał realne powody do obaw o swe przywileje ekonomiczne.

Nie doszłoby do tej sytuacji, gdyby ówczesne media zostały włączone w strukturę formalną władzy lub gdyby władza ta podporządkowała sobie media.

Oto jest powód dla którego udało się zdeformować politykę państwa i umocnić w niej ten kierunek, który nie wynikał z

dążenia najsilniejszego ośrodka władzy, czyli izby poselskiej. To jest właśnie wyjaśnienie paradoksu jak mogło dojść do tego, że choć to sejm ustrojowo mógł dyktować politykę całego państwa – w rzeczywistości w XVII w. był on w nieustannej defensywie wobec polityki ośrodka królewskiego, który ustrojowo miał mniejszą władzę niż niejeden współczesny prezydent: nie tylko był on wybierany w wyborach powszechnych, ale i był związany konstytucyjnie Artykułami henrykowskimi oraz dodatkowo umową publicznoprawną ze swoimi wyborcami, czyli tzw. pacta conventa.

Nie było więc tak, że król był wybierany za swoje obietnice wyborcze, lecz był wybierany jeśli zgadzał się na zadania, które dyktowali mu jego wyborcy. Batory tylko dlatego uchodził za porządnego króla elekcyjnego, że jako jeden z niewielu zrealizował swój kontrakt z wyborcami, czyli odzyskanie ziem zagarniętych przez Moskwę. Wazowie za wszelką cenę dążyli do torpedowania swoich zobowiązań wobec wyborców – i dlatego zostali w końcu „wyłączeni” politycznie poprzez instytucję liberum veto, co było wybitnym wynalazkiem polskiej kultury politycznej.

Inne monarchie również wynalazły opór przeciwko królom, lecz polegało to na siłowym ich obaleniu. W ten sposób dokonywano usunięcia króla w ówczesnej Anglii – wieloletnia wojna domowa, zakończona ścięciem króla, a w XVIII wieku do tego samego doszła Francja: siłowe zgniecenie sił królewskich oraz gilotyna. W stosunku do tego Rzeczpospolita była niezwykle postępowym krajem: po przykrym doświadczeniu bratobójczej wojny domowej z wczesnego okresu panowania Wazów, szlachta wymyśliła sposób sparaliżowania władzy królewskiej za pomocą procedur, bez przelewu krwi, i bez uszczerbku dla funkcji państwa.

Po wprowadzeniu liberum veto jakość władzy się poprawiła i objęli ją na powrót monarchowie rodzimi czyli tzw. Piastowie. Dzięki temu Polska nigdy nie ścięła króla, lecz tylko u nas mogło dojść do takich sytuacji, że jeden król uciekł

potajemnie z kraju a drugi abdykował i został mnichem.

Jedyną Piętą Achillesową tej demokracji było zlekceważenie przemożnej władzy mediów, które pozostawione same sobie mogą zdominować politykę kraju.

LIBERUM VETO KOZŁEM OFIARNYM

Późniejsi historycy nie rozumieli tego, winę upatrując w elemencie naprawczym – liberum veto, wszystko przez to, że Niemcy i Rosja doprowadziły do zablokowania tych elementów władzy, które były konsekwencją i powodem wprowadzenia liberum veto do systemu (władza sejmików i demokracji bezpośredniej), jednocześnie blokując możliwość usunięcia samego liberum veto.

Ponieważ osiemnastowieczni reformatorzy systemu musieli walczyć o zniesienie liberum veto, które wówczas gwarantowały ościenne państwa, doszło do utożsamienia głównej przyczyny problemu z liberum veto.

W istocie jednak pierwszoplanową przyczyną słabości ówczesnej demokracji stały się ówczesne media. To przez nie sejm znalazł się w defensywie w której musiał lawirować i uciekać się do rozwiązań nadzwyczajnych, co w efekcie zostało wykorzystane bezwzględnie przez zewnętrznych wrogów Polski.

II Rzeczpospolita miała początkowo ambicje być kontynuatorką dawnej Rzeczypospolitej. Z ustroju jednak pozbyto się tego co późniejsi krytycy oświeceniowi i rozbiorowi wskazywali jako przyczynę upadku: brak zasady większości i liberum veto. Okazało się to drogą donikąd, gdyż główną konsekwencją zasady większości stało się partyjniactwo, które paraliżowało odbudowę kraju. Ruch sanacyjny począł więc szukać głębszych przyczyn i dokopał się w ten sposób do postulatów z wcześniejszego okresu demokracji szlacheckiej: brak silnej władzy królewskiej. W ten oto sposób II Rzeczpospolita została „naprawiona” zamachem stanu i siłowym zaprowadzeniem władzy autorytarnej. I ten eksperyment naprawczy był ślepą uliczką polskiej demokracji, gdyż zawisł na sile i słabości jednostki

i wąskiej grupy. Było to już radykalne zerwanie tradycjami politycznymi dawnej, wielkiej Rzeczypospolitej.

Współczesna demokracja polska reaktywowała formę wczesnej II Rzeczypospolitej i na tym utknęła przez ćwierć wieku. Postulaty naprawy odwołują się do kierunku sanacyjnego i są nawoływaniem do leczenia państwa przez rządy silnej ręki. Moim zdaniem to brnięcie w te same błędy.

JOW TO KIERUNEK PRZEŁOMOWY, LECZ CZĄSTKOWY

W tym kontekście ruch JOW jest dla mnie całkowitą rewolucją, gdyż wreszcie jest to idea postulująca naśladowanie formy demokracji z czasów najlepszych w naszych dziejach.

Wszystkie słabości demokracji II RP i III RP, jak i pomysły na ich naprawianie polegały na zrywaniu z demokracją szlachecką, ruch JOW to pierwsza poważna próba rekonstrukcji dawnej polskiej demokracji.

Tym niemniej jestem daleki od tezy, by JOW-y mogły naprawić naszą demokrację. Byłyby krokiem w dobrą stronę jedynie wówczas, gdyby zostały potraktowane jako pierwszy krok. Drugim atutem demokracji szlacheckiej był konsensualny tryb pracy, co likwiduje partyjniackie spory i wymusza szukanie porozumień. Nie chodzi o wprowadzenie liberum veto, które jak wskazałem było jedynie lekarstwem na kumulację patologii. Idzie jednak o zorganizowanie pracy parlamentu z wymuszeniem możliwie dużej konsensualności. W efekcie praw będzie znacznie mniej, lecz byłyby o wiele sensowniejsze i powszechniej szanowane (mogłyby się wówczas nazywać tak samo jak w dawnej Rzeczypospolitej: konstytucjami sejmowymi). Trzecim elementem, który stanowił o wyższości dawnej demokracji, byłoby wprowadzenie umów publicznoprawnych władz, czyli odejście od polegania tylko na obietnicach.

Demokracja ta praktykowała związanie władzy sejmowej, jak i wykonawczej ze swoimi wyborcami za pomocą umów publicznoprawnych (instrukcje wobec posłów, pacta conventa

wobec królów). Fenomenalnie klarowało to kwestię odpowiedzialności politycznej ośrodków władzy.

Dopiero te trzy podstawowe zmiany sprawiłyby, że nasza demokracja skorzystałaby ze wszystkich atutów demokracji szlacheckiej.

BRAKUJĄCY ELEMENT: NIEFORMALNY CHARAKTER TZW. IV WŁADZY

By jednak pójść jeszcze dalej trzeba umieć naprawić jedyną słabość tejże demokracji: nieunormowanie roli politycznej mediów. To jest czynnik głównej słabości wszystkich współczesnych demokracji. Co więcej są one już półświadome tej słabości. Powszechnie mówi się dziś, że współczesne demokracje są de facto mediokracjami. Już w XIX wieku wczesne demokracje innych krajów zauważały, że media pełnią rolę czwartej władzy. Przy czym jest to jedyna nieformalna władza, czyli pozostawiona sama sobie. Uważano bowiem, że owa nieformalna władza może pełnić kontrolę społeczną nad trzema pozostałymi.

Było to jednak założenie skrajnie naiwne, zależne od dobrej woli właścicieli mediów. W XX wieku, wraz z eksplozją form i masowości mediów, ich właściciele coraz chętniej przechodzili od kontroli społecznej do kształtowania władzy, czyli rządu dusz. W ten sposób doszło do narodzin mediokracji, czyli sytuacji w której władza nieformalna staje się silniejsza niż wszystkie władze formalne.

Demokracja nie ma żadnego sensu, jeśli nie zagwarantuje dostępu do informacji politycznych. Otóż nasza scena polityczna jest odbiciem głównonurtowych mediów. W efekcie ten kto dysponuje masowym przekazem informacji – rządzi. W okresie demokracji szlacheckiej środkami masowego przekazu były kazalnice. W ten sposób urosła potęga jezuitów w Polsce (była to ta część kościoła, która przyległa do ówczesnej władzy centralnej, dlatego decentralizacja władzy, ogromnie osłabiła wpływ kościoła – gdy Sobieski kończył panowanie, wojska królewskie blokowały siedzibę nuncjatury, i wszystko szło ku

temu, by przeprowadzić wówczas rozdział kościoła od państwa).

Dziś nasza patologiczna scena polityczna jest dość wiernym odbiciem patologicznych mediów. By naprawić naszą demokrację trzeba naprawić nasze media i obłożyć je konkretnymi obowiązkami w zakresie gwarantowania dostępu do informacji politycznych.

Jeśli ktoś bierze się dziś za naprawianie demokracji, pomijając to, że najmocniej deformują ją złe media, jego efekty muszą być niewielkie. Bez względu na ordynację, i tak dominujący wpływ polityczny w kraju zachowują media masowe, tym bardziej, że jesteśmy dziś do nich znacznie mocniej przykuci aniżeli dawna szlachta do kościołów. Wciąż więc preferowane byłyby osoby posiadające media lub pieniądze na zakup dostępu do nich. Nawet w lokalnych społecznościach poglądy kształtują lokalne media. JOW nie zmieniają także i tego, że media masowe mogą w dużym stopniu nadal kształtować wybory, eliminując zwłaszcza z różnych względów niepożądanych kandydatów.

Mamy skłonność do lekceważenia mediów nie doceniając jak przemożny jest to wpływ.

Weźmy przykład: ostatnie gesty przerywania kampanii w związku ze śmiercią trójki Polaków w Tunezji. Były to niedorzeczne gesty, pozbawione jakiegokolwiek sensu czy przesłania. Ilu z nas obwiniło za to kandydatów na prezydenta a ilu media? Generując poruszające emocjami idiotyzmy media wywierają automatyczną presję, by nie pozostawać obojętnym. Gest nie tylko pozbawiony sensu to na dodatek kosztowny dla kandydatów walczących z faworytem, dla których prowadzenie kampanii daje szansę na przekonywanie wyborców, którzy siłą rzeczy mają skłonność psychologiczną do wybierania tego, kogo znają lepiej. Jeśli zatem media mogą tak jaskrawo determinować zachowania polityków, to czyż nie media odpowiadają za to, że politycy zajmują się pseudoproblemami, że nie są rozliczani z merytorycznej pracy, że debata publiczna nie rozwija wiedzy

niezbędnej do tego, by podjąć miarodajny wybór?

Czy ukształtowanie mediów realizujących minimum w zakresie informacji obywatelskiej jest czymś ogromnie trudnym? W żadnym razie. Problem jest na poziomie świadomości społecznej i presji na zmiany.

W dzisiejszej demokracji nie widzi się problemu w sytuacji, że w wyborach biorą osoby, które wiedzą prawie wszystko o wypadkach polityków a prawie nic o problemach państwa. Media nie muszą dziś informować, mogą tylko wykpiwać upatrzonych polityków.

Obecna demokracja jest w gestii garstki właścicieli mediów, tak jak demokracja szlachecka zawisła w pewnym momencie na kazalnicach. W demokracji media powinny być traktowane jako infrastruktura systemu, a nie dostarczyciele rozrywki. Rozrywkę publiczną zapewniają monarchie, demokracje powinny dostarczać informacji niezbędnych dla podejmowania decyzji wyborczych, a najlepiej także i umożliwiających kształtowanie poglądów społecznych.

Rzeczpospolita szlachecka poległa przez mediokrację, którą wykorzystali państwa ościenne. Obecnie nieformalna władza mediów jest o wiele silniejsza niż władza Kościoła w XVII w. w Polsce. Zmiany ordynacji pozostaną siłą rzeczy pewną korektą systemu, którego głównym problemem pozostaje niesformalizowany wpływ polityczny mediów. Można to gruntownie naprawić.

Traktuję ruch JOW jako krok w dobrym kierunku, jako pierwszy krok z kilku potrzebnych do urealnienia współczesnej demokracji. Sądzę, że Polska ma wszelkie prawa do tego, by mieć ambicję rewolucyjnych zmian współczesnej demokracji. Dzięki swej historii, w której to u nas demokracja miała charakter najbardziej progresywny i awangardowy.

Nie tylko przez dopuszczenie do władzy takiego odsetka ludności, jaki inne demokracje dopuściły dopiero w XX wieku. Ale i przez to, że to u nas podejmowano pierwsze rozwiązania,

które dążyły do przewyższania słabości mediokracji.

W ten właśnie sposób można traktować wynalazek liberum veto, który całkowicie sparaliżował ten element systemu politycznego, który został sztucznie wzmocniony nieformalnym wsparciem ówczesnych mediów (sojusz króla z kościołem przeciwko demokracji szlacheckiej).

Właściwa naprawa tej słabości polegać musi jednak na tym, by uznać, że media są realną władzą w demokracji, która zachowuje charakter niesformalizowany, co prowadzi do deformacji każdej demokracji. Zaradzić temu można jedynie poprzez formalne określenie sposobu udziału mediów w grze demokratycznej, która zagwarantuje mediom nie tylko prawa, ale i wprowadzi określone obowiązki co do przekazu politycznego.

Jest to nie tylko i możliwe, ale i niezbędne. Naturalnie chodzi tutaj o gwarancję tzw. miarodajnej informacji dla odbiorców, pozwalającej na podejmowanie świadomych decyzji politycznych. Nie chodzi natomiast o podporządkowanie mediów aktualnemu rządowi. Ta ostatnia forma zapobiegania mediokracji była właściwa dla tzw. demokracji ludowych. Chodzi o to, by nie dochodziło do takich sytuacji, że dominujące w kraju media grają na określone partie i polityków. W efekcie, by dziś zdobyć władzę trzeba posiadać jakieś media. Rządzą w Polsce ci, którzy posiadają media. Jedynym wyjątkiem jest tutaj PSL, który rządzi dzięki rekordowej rozbudowie lokalnych struktur.

Gdyby udało się w Polsce odtworzyć idee dawnej polskiej demokracji, a następnie zminimalizować zjawisko mediokracji, znów znajdziemy się w awangardzie cywilizacyjnej, która prędzej lub później musiałaby zyskać uznanie na całym świecie. Nie ma bowiem dziś ratunku dla demokracji bez likwidacji nieformalnej władzy mediów. Inne demokracje prawdopodobnie pójdą ku próbom zamachów i rewolucji, czyli de facto kasowania demokracji, która całkowicie zatraciła związek ze społeczeństwem czyli z wyborcami. My natomiast powinniśmy skorzystać z własnych doświadczeń, by zaproponować naprawienie

demokracji, zamiast jej likwidowania.

Autorstwo: Mariusz Agnosiewicz

Źródło: [Racjonalista](#)